

PIŁOMYK

TYGODNIK DLA DZIECI : MŁODZIEŻY

ROK 20 ♦ TOM 1 ♦ NR.2

WARSZAWA, 9 WRZEŚNIA 1935 ROKU



POTĘŻNYM CIENIEM WZDŁUŻ I WSZERZ PRZESŁANIASZ POLSKĘ CAŁĄ,
BO POLSKA TWOJEM DZIEŁEM JEST, ZASŁUGĄ TWĄ I CHWAŁĄ.



RAPORT

Pośród wielkich, największych Polaków
w srebrnej trumnie na Wawelu śpisz.
U stóp Twoich kamienny Kraków —
ponad Tobą Zygmunta śpisz.

Czoła, sztandary, pochodnie
pochylone, skłonię przed Wodzem.
Biją serca mocno i zgodnie
cichym zwłokom milczący odzew.

Nienadarmo całym życiem swoim
nauczyłeś nas, Wodzu, walczyć.
Musi nam do pracy i na boje
siła i wytrwania wystarczyć.

Cała ziemia szeroka, polska,
wszyscy na niej od starców do dzieci —
to Twój obóz i Twoje wojska
i chwała przyszłych stuleci.

Na te czasy, czynem olbrzymie,
które trzeba w trudzie wykuwać,
nieśmiertelne, wielkie Twe imię
nad nami czuwa.

Trzeba nam dziś wszystkie Twoje słowa
przyjąć w serca, jak w glebę nasienie.
Dzień każdy witać od nowa
— choć bez Ciebie — Twojem imieniem.

I będziemy, choć po drodze z cierni,
tworzyć Polsce wielkość i moc.
I choć od nas odszedłeś w noc —
nazawsze zostajemy Ci wierni.

Twoje w przyszłość rycerskie porywy
w dni pokoju, czy w bitew marszu,
w czyn wcielimy, jakgdybyś żywy
sam nas prowadził naprzód.

Kraj nasz do szczęścia, do słońca
podźwigniemy przez dziejów zamęt
i spełnimy ofiarnie do końca
Twoją wolę — żołnierski testament.

W KRAKOWIE

Jaś szedł wolno, trzymając ojca za
rękę. Posuwali się krok za krokiem
w ciżbie ludzi, którzy nieprzerwanym
strumieniem płynęli wciąż w jednym
kierunku. Tłum był bardzo różnorodny —
kobiety w chusteczkach na głowach
i eleganckie panie, robotnicy
w wyszarżanych ubraniach, chłopcy
w mundurkach szkolnych, dzieci, pro-

wadzone przez matki, szli wszyscy w górę,
ku widniejącej tam bramie.

— To już tu? — spytał Jaś szeptem,
bo wkoło panowała tak uroczysta cisza,
że bał się odezwać głośniej.

— Niedługo, synku. Jeszcze dziedzi-
niec i już będzie katedra — powiedział
ojciec i Jaś czuł, jak silna dłoń ojca
drży teraz w jego dłoni.

Powoli, krok za krokiem wstępowali po szerokich schodach do katedry. Tam, z boku wisiały na zardzewiałych łańcuchach jakieś olbrzymie kości — żebra i golenie przedpotopowych zwierząt, odkopane ongiś na wawelskim wzgórzu. Gdyby to było kiedyindziej, Jaś nie dałby ojcu spokoju; a co, a jak, a kiedy — bo zawsze musiał o wszystkim dokładnie wiedzieć. Ale teraz nie to mu było w głowie.

Z nagrzanym słońcem schodów weszli w cień katedry. Odrazu przyciemniał świat. Tu było mroczno i uroczyste. Na samym środku połyskiwała trumna świętego Stanisława, ustawiona wysoko. Ale Jaś nie patrzył ani na tę trumnę, ani na gobeliny, zwieszające się z góry, ani na kolorowe kwadraty witraży.

— Czy dobrze idziemy?

— Dobrze, synku, dobrze. Przecież wszyscy tak idą — powiedział ojciec.

Nagle idący przed nimi jakby się za-

częli zniżać — uważaj! — powiedział ojciec. Tu już były schody do podziemi, do krypt, gdzie mieszczą się królewskie grobowce.

Schodzili powoli, w rozjaśnione lampkami podziemie, tchnące chłodem. Nagórze zrobiło się teraz trochę zamieszania. Wstrzymano płynący nieustannie potok ludzki, bo w podziemiach nie było już miejsca.

— Tutaj — powiedział ojciec drżącym głosem. I Jaś zobaczył srebrną trumnę. Ścisnęło mu się serce. W tej srebrnej trumnie leży Marszałek Piłsudski. Ludzie klękali. W rogu jakaś babina popłakiwała cichutko i ocierała oczy końcem chustki, którą miała na głowie. Jaś czuł, jak drży ręka ojca.

— Chodź, synku. Nie można tak długo — inni też chcą tu wejść, oddać hołd Panu Marszałkowi...

Wyszli wolno razem z falą ludzi. Ale tłum płynął spowrotem, ku wyjściu. A ojciec pociągnął Jasia dalej, na ze-



WIDOK Z WAWELU





OLEANDRY

wewnętrzny dziedziniec Wawelu. Widać było stąd szare pasmo Wisły, a dalej Kopiec Kościuszki i błonia.

— Popatrz, synku! Stamtąd... stamtąd... — głos ojca załamał się na chwilę. — Stamtąd przed dwudziestu jeden laty szliśmy z Komendantem Józefem Piłsudskim na wielką wojnę, na walkę za Ojczyznę...

Jaś patrzył. Wzrok jego biegł na rozległe błonia, na wznoszący się w Oleandrach, widoczny stąd dom imienia Marszałka. I dalej, w stronę Sowińca, gdzie teraz cały naród sypał kopiec Panu Marszałkowi.

— Z Krakowa wyszedł... Garsteczka nas tylko była, tych, co z Nim szli... I znów teraz w Krakowie jest... już na zawsze...

Ojciec mówił półgłosem, jakby do siebie. Jasiowi ścisnęło się serce. Ach, jaka zatroskana, jaka strasznie smutna była ta wesoła zwykle tatusiowa twarz!

Wracali wolno tą samą drogą.

— Ty, tatusiu, przynajmniej mogłeś być Jego żołnierzem — powiedział Jaś i wyraźnie, jak nigdy, zobaczył teraz krzyż Pierwszej Brygady na piersiach tatusia i niebieską wstążeczkę Virtuti Militari. Ogarnął go taki żal, że poczuł, że za chwilę nie powstrzyma już łez i rozplacze się, jak małe dziecko. A przecież to hańba, żeby taki duży chłopak płakał.

— Wszyscy musimy być Jego żołnierzami — tembardziej dziś, gdy Jego zabrakło. Rozumiesz mnie?

Tak. Jaś rozumiał. Mijali już Katedrę. Tam, w podziemiach, stała srebrna trumna. I Jaś poczuł, jak wzbiera w nim wielkie postanowienie — w każdej myśli, w każdym czynie być żołnierzem Marszałka Piłsudskiego. Być takim, żeby nie trzeba się było nigdy zawstydić, nawet gdyby spojrzwały wprost na niego te oczy sokołe i przenikające, których już niema.

Kiedy zeszli z wawelskiego wzgórza,



PAN PREZYDENT NA SOWINCU

Jaś obejrzał się jeszcze raz. Na zaróżowionem zachodzącem słońcem niebie rysowały się majestatycznie kontury kró-

lewskiego zamku. I Jaś zrozumiał, że nie przeminie nigdy w narodzie Obecność Tego, Który odszedł.

WIELKA WYPRAWA FRANKA

Franek umówił się na niedzielę z Wickiem, że pójdą łapać ryby do Rzepiennika. Rzepiennik, to był mały potoczek pod miasteczkiem — w czasie suszy zmniejszał się tak, że tylko wąziutka struga sączyła się po piaszczystym dnie. Ale kiedy lato było deszczowe, przybierał na sile i miał nawet całkiem przyzwoite głębinki. W tych właśnie głębinkach można było czasem złapać rybę — nie często, bo amatorów połowu było w miasteczku tylu, że wylapali wszystko, co się tylko dało.

W sobotę, żeby się jeszcze upewnić, skoczył do Wicka. Stanął pod domem i zagwizdał. Na ten sygnał zawsze natychmiast ukazywała się w oknie rozczochrana, wielka głowa Wicka i rozlegał się w odpowiedzi ten sam gwizd. Ale tym razem jakoś nic. Franek powtórzył wezwanie. I znów bez skutku. Ruszył tedy ku drzwiom, choć zazwyczaj

nie lubił chodzić do Kosmalów ze względu na wiecznie gderającą, starą ciotkę, która ubolewała, że „wywleka tylko Wicka na te jakieś łazęgi”. Ale trudno, trzeba się było tym razem na to narazić.

— Jest Wicek? — zapytał małej Zosi, która bawiła się w sionce lalką, zrobioną ze szmat.

— Jeszcze jest — dała niezbyt zrozumiałą dla Franka odpowiedź. Bo dlaczego niby „jeszcze”?

Uchylił ostrożnie drzwi i wsadził głowę do pokoju.

— Do Wicka chciałem... — oznajmił, rozglądając się równocześnie, jakie stanowisko zajmuje ciotka, czy aby nie jest zbyt blisko drzwi.

— A chodź, chodź — zapraszała go uprzejmie Kosmalowa, matka Wicka. — Jeszcze chwilkę, a nie zastałbyś nas już.

Z drugiej izby wyskoczył Franek. Był wyjątkowo uczesany na gładko, aż



mu lśniły wysmarowane czemś włosy, a na sobie miał nowe ubranie, choć to przecie był dzień powszedni.

— Ty, a my jedziemy do Krakowa! — zawołał triumfująco, i obserwował pilnie wrażenie, jakie ta niespodziana wieść wywrze na koledze. Nie zawiódł się, bo Franek otworzył szeroko usta i oniemiał.

— A tak, kopiec sypać! — dobił go Wicek.

Franek westchnął ciężko.

— Niceś mi nie mówił...

— A bośmy sami nie wiedzieli — tłumaczyła Kosmalowa. — Tak się tylko gadało, że to dobrzeby było pojechać, choć tę garsteczkę ziemi na kopiec Panu Marszałkowi rzucić. A tu zniżki kolejowe przyszły — i mówi ciotka — zabierzcie się i jedźcie. Należy się, żeby i od nas ktoś tam był, Panu Marszałkowi swoje służby oddał. Tak i jedziemy.

Postał Franek w drzwiach, postął, popatrzył, jak zawijają w papier przewjanty na drogę, westchnął sobie jeszcze raz i zawrócił do domu.

— Mamo, a to Kosmalowie do Krakowa jadą, kopiec sypać...

— Patrzcie się, jadą? — zdziwiła

się matka. — Oj, pojechałby człowiek, pojechał, ale cóż...

— Mamo, a jakbyśmy i my jechali? — zaczął nieśmiało Franek, ale umilkł. Wiedział przecież, że pieniędzy niema, ojciec od dłuższego czasu bezrobotny. Jeszcze Helenka chorowała na wiosnę i to pochłonęło wszystkie oszczędności.

Tymczasem przyszła sąsiadka z nowinami.

— Moja pani, popatrz się pani, jak się to naród ruszył! Do Krakowa wszystko garnie. Kosmalowie jadą, i Filipczak, i Walkowscy, i nawet Staszek od Zarańskich. Jak na odpust, na niedzielę to tu nikogo nie będzie!

— Dużo tam Staszek kopca usypie — powiedział z zazdrością Franek, bo Staszek Zarański mały był i słabowity. Ale go matka zaraz zgromiła:

— Tu nie o to chodzi, żeby akuratnie furę ziemi wywiózł! Byłe ździebko, ale każdy! I z sercem, z miłością, to kopiec urośnie, nie bój się!

Franek znów westchnął. Tak, to prawda — choć po odrobinie, ale każdy! A on, Franek, co nieraz dla zaba-

wy z piasku i gliny taką fortecą ustawił, że to ha, siedzi tutaj i najwyżej ryby będzie jutro w Rzepienniku łowił, kiedy choćby i taki Staszek, a Panu Marszałkowi hołd odda.

— Koszt duży — mówiła jeszcze matka i oglądała się po pustej niemal izbie, z której wysprzedano już wszystkie sprzęty, co porządniejsze. Tak, jakby namyślała się, skądby tu pieniądze wytrzasnąć, żeby przecie pojechać.

Franek wiedział, że nic z tego nie będzie. Skąd — o chleb było trudno, a co dopiero o bilety kolejowe. Ojciec chodził po wsiach i pomagał przy żniwie, ale wiele zarobku z tego nie było.

Zmartwiony poszedł z domu. Ciągnęło go coś ku stacji. Gwaro tam było i jasno, jaśniej, niż na mroczniejszych już ulicach miasteczka.

— Jak kto bilet bez zniżki ma, to może dzieci ze sobą darmo brać — doleciała Franka już pod stacją rozmowa dwóch idących przed nim robotników. Podskoczyło w nim serce. Czy to możliwe? Czy to prawda?

Teraz już biegiem puścił się do sta-

cji. Nie zdążył zobaczyć, jak odjeżdżał pociąg wycieczkowy, ten, którym i Kosmalowie jechali. Teraz miał nadzieję zwyczajny, osobowy. Chyłkiem przemknął się na peron. Na peronie, na ławeczce siedziała panna Stasia, ta, co pracowała w sklepie. Znał ją, bo go matka czasem do tego sklepu posyłała.

— A ty też gdzieś się wybierasz? — zagadnęła uprzejmie chłopca.

— Oj, wybrać się, tobym wybrał... tylko że to ani grosika w kieszeni nie ma...

— Gdzież cię to tak ciągnie? — uśmiechnęła się panna Stasia.

— Do Krakowa chciałbym... kopiec sypać...

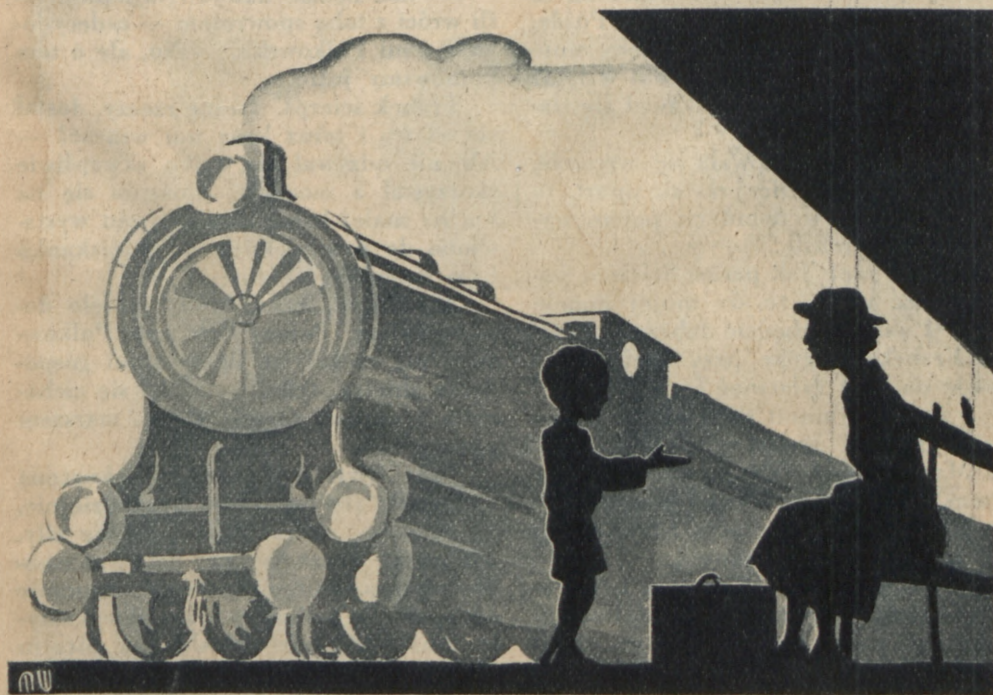
Panienska spowaźniała.

— A pani też do Krakowa?

— Nie. Do Trzebini tylko jadę na niedzielę.

— Panno Stasiu, moja złociutka, a jakby mnie pani ze sobą wzięła, moja jedyna! Jak kto cały bilet ma kupiony, to może ze sobą chłopca takiego jak ja wziąć! — Panienska zawałała się.

— Dajże spokój! I przecież ja nie do Krakowa, tylko do Trzebini jadę.





Wiesz ty, jaki to jeszcze szmat drogi do Krakowa? A co w domu powiedzą?

— Nic, nic, panno Stasiu! Żebyśmy tylko pojechać mógł! A z Trzebini, to ja już jakoś sobie dam radę! Pójdę, albo kogo z biletem poproszę, żeby mnie tylko panna Stasia do Trzebini wzięła! Żebyśmy jakoś do Krakowa mógł się dostać!

Paniuszka zdecydowała się wreszcie.

— Ano, jakeś się już tak uparł, to trudno. Tylko w domu mi potem wymówki będą robili...

— Nie, nie! Jak panna Stasia w poniedziałek wróci, to da mojej mamie znać! I wszystko będzie dobrze! — błagał Franek, biegnąc przy niej, kiedy poszła do kasy załatwiać formalności.

I za kilka minut siedział już w pociągu. Jechał! Jechał sypać kopiec/Panu Marszałkowi! Nie myślał zupełnie o tem, co będzie po owej Trzebini. Kiedy pociąg ruszył ze stacji, zdawało mu się, że już jest w Krakowie.

A tymczasem do Krakowa było jeszcze daleko. Wsiadł w Trzebini razem z uczynną panną i poszedł do jej rodziców na nocleg, który mu zaofiarowała. Dali mu nawet kolację — ale nie obyło

się bez wymówek, że Stasia źle zrobiła, ułatwiając chłopcu wyjazd bez wiedzy jego rodziców.

— Cóż będzie dalej? Najlepiej, jeśli wróci z tobą spowrotem — zdecydowała pani Polkowska. — No, ale o tem pomówimy jutro.

Franek ścierpł. Ładne rzeczy, dostał się aż tu, i teraz każą mu wracać! — Ale nie odzywał się, tylko skwapliwie skorzystał z możliwości ułożenia się na sen na małej kanapce, którą mu wystawiono do przedpokoju, bo mieszkanie było maleńkie i ciasne.

Zbudził się rano, kiedy zaczęło dopiero świtać. Pomny słów pani Polkowskiej nie czekał, aż się gościnni gospodarze obudzą, tylko wymknął się cichaczem i odrazu ruszył ostrym marszem przed siebie.

Droga była dosyć nudna, zakurzona i ciągnęła się tak jakoś beznadziejnie, że pierwszy raz zwątpił w swoje siły. Ale szedł. Teraz dopiero dał znać o sobie dziurawy but, od którego ostatecznie oderwała się podeszwa i wszelkie kamyczki raniły boleśnie nieosłoniętą niczem stopę. Przytem był głodny. Rankiem nie miał przecież nic w ustach.

Słońce podnosiło się coraz wyżej i piekło nieznośnie. Wapienny kurz drogi wydawał się teraz oślepiająco biały i Franek zaczął odczuwać ból oczu. Przytem maszerował, maszerował, a drogi jakoś nie ubywało. Minęło go kilku ludzi idących do miasta, nie zwrócili na niego uwagi. Starał się im dotrzymać kroku — ale ani rusz. Jeden krok dorosłego — to były trzy kroki Franka. Rozzalił się teraz nad sobą, że jest taki mały. Ale zaraz zacisnął pięści.

— Muszę iść! Muszę dojść!

— To dla Pana Marszałka! — mówił sobie, kiedy nadeptywał na ostre kamyczki. — To przecież dla Pana Marszałka!

Zdaleka zobaczył jakieś domy. Młoda kobieta stała przed domem.

— A gdzie to? — okrzyknęła go.

Zatrzymał się. Teraz dopiero poczuł, jak strasznie był zmęczony. Opowiedział, co i jak. Kobieta poczęstowała go mlekiem i chlebem. Jadł i pił łapczywie.

— Bez śniadania jestem — tłumaczył się.

— A jedz, jedz, na zdrowie. Tylko jakże ty zajdziesz, nieboże? Toż to przecież jeszcze kawał!

— Zajdę! — powiedział zawzięcie Franek. Podziękował grzecznie, pożegnał się i ruszył w dalszą drogę, choć zatrzymywała go, mówiąc, żeby odpoczął.

Uszedł znów spory kawał. Napił się wody ze strumyka. Słońce chyliło się powoli ku zachodowi. Była niedziela — więc w polu nie spotykał zupełnie ludzi. Oglądał się z niepokojem po ciemniejących polach. — W domu mam spanie takie wygodne — pomyślał, ale zaraz otrząsnął się z tej chwilowej słabości.

Kiedy ściemniło się na dobre, a nigdzie nie było widać ludzkich osiedli, szczęśliwie natrafił na stóg siana w polu. Zagrzebał się w siano, i choć burczało mu w głodnym żołądku, usiłował spać. Ale przerażały go wszystkie odgłosy nocy, których nie znał. Gdzieś daleko kumkały chórem żaby, zahuczała sowa, aż się poderwał.

Przejął go strach. Ale wtedy przypomniał sobie, jak opowiadała pani nauczycielka, jak to Komendant Piłsudski razem z prostymi żołnierzami dzielił trudy, niewygody i niebezpieczeństwa, i zawstydził się. Zdawało mu się, że patrzy teraz na niego dobrotliwe, siwe





oczy Pana Marszałka. I uczył się bezpieczny, spokojny. Usnął, sam nie wiedząc kiedy.

Rankiem zbudził go deszcz. Całe niebo zawleczone było szaremi chmurami. Szedł po tym deszczu, czując, jak przemaka na nim liche ubranko. W dziurawych butach chlupała woda. Tak dowlókl się do Krzeszowic. Wstydił się taki brudny i przemoczony wejść do miasteczka, obszedł je bokiem.

W Mydlnikach znalazł kolację i nocleg u dróżnika kolejowego. Oczyszczył się tam, przyprowadził trochę do porządku i koło południa stanął w Krakowie z bolącymi nogami, niewyspany, czując jak drze go we wszystkich mięśniach. Ale nie zważał na to. O drogę na kopiec dopytał się łatwo.

Ludzi tam było sporo, mimo, że deszcz siąpił dalej. Pokazano mu, gdzie są taczki i skąd trzeba brać ziemię.

— To za duże dla ciebie! — powiedział jakiś pan w wojskowym mundurze. — Weź te mniejsze!

Ale Franek nie posłuchał. Jeszczeby też! Nie poto szedł dwa i pół dnia, nie poto się namęczył, żeby tu wozić małe taczki! Jak już tu był, chciał jak najwięcej ziemi dać Panu Marszałkowi na kopiec. Zaczerwieniony z wysiłku pchał pod górę ciężkie taki.

— To ode mnie, Panie Marszałku — mówił w myśli i wysypywał burą glinę na miejsce, które mu wskazano.

— To od mamy — powtarzał przy drugich.

— To od ojca — przy trzecich.

— Odpocznij, smyku — odezwał się ten sam wojskowy, który przedtem nie chciał mu dać i odradzał mu wzięcie dużych taczek. — Już dość, dużo wiozłeś!

— Jeszcze od Helusi nie — powiedział Franek.

— Od Helusi? A któż to taki?

— Moja siostra. Jej tu niema, nie mogła przyjechać, i dlatego... ja chcę za nią...

— A rodzice tu są?

Powoli Franek rozgadał się, co i jak. Wojskowy zainteresował się jego podróżą. Do wieczora Franek woził ciężkie taki. A wieczorem zabrał go wojskowy do siebie. Wyspał się Franek świetnie.

Rano dostał bilet na kolej i ruszył spowrotem.

Bał się trochę, jak to będzie w domu.

— Oj, ty, ty, niepokoju nam narobiłeś! Jak mi ta Stasia ze sklepu powiedziała, to ażem struchlała! Bo tu widzieli cię z nią na stacji, tom myślała, że sobie do Trzebini pojedziesz i razem z nią wrócisz! A tyś się do Krakowa

zabrał! A czyś i za mnie choć garsteczkę ziemi tam rzucił?

— Nie garsteczkę, matulu! Całe taki za ciebie wywozłem.

— Całe taki, powiadasz? Oj, to dobrze, to dobrze — kiedyś sama nie mogła, że tak chociaż, synowskiemi rękami

Panu Marszałkowi choć tą drobinką ziemi się przysłużyłam — mówiła matka, patrząc zażawionemi oczyma na portrecik Marszałka, który wisiał na ścianie między oknami.

I tak nie gniewali się w domu na Franka.



Ze wszystkich pobojoiwisk
ziemię na kopiec nieście —
niech rośnie Komendantowi
pomnik w królewskim mieście.

Niech niosą wszystkie boje
gdzie Wódz szedł i zwyciężał,
dumne wspomnienia swoje
bagnetu i oręża.

Niech się pomiesza w kopcu
piasek, gruda i glina
z bohaterskich okopów
Lwowa i Radzyna.

Niech tu spoczywa, w ciszy
chwała spod dawnych znaków
pancernych towarzyszy,
lansjerów i czwartaków.

Niech szumi ponad kopcem
prastarych bojów mowa,
niech szumią stepy obce
Cecory i Kijowa.

Zewsząd, gdzie krew Legionów
broczyła pola chwały,
tę ziemię błogosławioną
zbierzcie w okrucach małych.

Nie zbraknie jej od Karpat
aż do Bałtyku toni,
gdzie wróg granice szarpał,
gdzie Wódz tych granic bronił.

Nieśmy ją w pełnych dłoniach,
rozgrzejmy ją kochaniem —
w niej wierność niewzruszona
i pamięć pozostanie.

W królewskim mieście Krakowie
na wzgórzu, widnem zdaleka,
niech rośnie Komendantowi
kopiec, na który nie czekał.

Nad głowy odkryte ludzkie
niech rośnie, rośnie ogromny
— jak wielki był Piłsudski,
jak wielki — i jak skromny.

Na Wilno, na Warszawę
niech rośnie ziemią z mogił.
Niech będzie tak, jak Wawel,
sercu polskiemu drogi.



MARSZAŁEK JÓZEF PIŁSUDSKI

KOLEŻANKI

— A nie będziesz się śmiała?
— Nie.
— Bo widzisz... ja o tem nigdy nikomu nie mówiłam. I nawet nie wiem, czy ja dobrze myślę...

— A co takiego myślisz?
— To tak odrazu nie da się powiedzieć, Wandziu. I to jest trudna sprawa.
— Mówże, Jadziu, bo umieram z ciekawości!

— Zaraz ci powiem. Ale przyrzeknij mi, że będziesz mi pomagać.

— Naturalnie, że będę. Albo jestem twoją przyjaciółką, albo nie. A przecież jestem — prawda?

Tak rozmawiały Jadzia i Wanda, przyjaciółki serdeczne ze szkoły, które tak się lubiły, że nazywano je siostrami. Szły właśnie do domu przez ulicę miasteczka, a mieszkały blisko siebie.

— Muszę ci wszystko powiedzieć po kolei. Nie myśl, że ja to mówię dzisiaj właśnie, po lekcjach, kiedy nasza pani tyle mówiła o...

— O Marszałku Piłsudskim! Już wiem!

— Wiesz, ale nie wiesz tego, co ja myślę i właśnie chcę ci to wszystko powiedzieć.

— Słucham.

— Pamiętasz? Kiedy w maju, przed wakacjami, umarł Marszałek, mieliśmy żalobę. Dzieci z młodszych klas niebardzo rozumiały, dlaczego wszyscy w szkole byliśmy smutni i przygnębieni.

— Pamiętam. Nasza pani tak płakała, jakby jej własny tatuś umarł.

— To tylko spoczątku. Potem nie płakała już, ale od tego czasu jest taka poważna. Rozmawia z nami, bawi się czasem, nawet uśmiecha się czasem, ale już nie jest taka wesoła, jak kiedyś.

— I ty też, Jadziu.

— Naprawdę? Bo ja nawet nie zaważyłam tego. Może i jest tak, jak mówisz.

— A wtedy nietylko było mi żal, że straciliśmy naszego Wodza i Oswobodziciela. Muszę ci się przyznać, że wtedy słabo się uczyłam historii i dopiero teraz, kiedy podczas wakacyj tyle czytałam, przekonałam się, jaką ogromną stratą dla Polski jest śmierć Marszałka. Ty, Wandziu, zawsze byłaś najlepszą historyczką w klasie i przyznasz mi rację.

— Oczywiście. I teraz będę miała w tobie rywalkę.

— Zobaczysz sama, że nie. I wtedy, w maju, dużo myślałam o różnych rzeczach. Wydawało mi się jeszcze przedtem, że Marszałek Piłsudski nigdy nie umrze. Pamiętasz? Na Jego imieniny, w marcu, było święto w szkole i pan kierownik mówił, że Józef Piłsudski — to jeden z nieśmiertelnych bohaterów narodu.

— I mnie się też tak zdawało, że chyba nigdy nie umrze, bo nie powinien umierać.

— Cóż, Wandziu, każdy umiera. Czy chce, czy nie chce! I przyznaję, że wtedy strasznie mi było żal przede wszystkim pani Marszałkowej i córek Marszałka. Przedtem zazdrościłam im zawsze, że mają tak sławnego męża i ojca. Zresztą nietylko ja, bo chyba wszystkie dziewczęta zazdrościły Jagódce i Wandeczce.

— I ja też.

— No widzisz. A ja zbierałam wszystkie wycinki z gazet i wszystkie zdjęcia z życia rodziny Marszałka. I tak mi się zdawało, że to jest trochę moja rodzina...

— Naprawdę? Pokażesz mi to wszystko?

— Pokażę. Zrobiłam sobie nawet album z zeszytu rysunkowego. Przyniosę go jutro do szkoły.

A wtedy już wiedziałam, że Marszałek bardzo kocha i swoje dzieci i wszystkie dzieci w całej Polsce. Na pewno i córki bardzo Go kochały. Może jeszcze bardziej, niż my swoich rodziców. I musiało im być strasznie żal zostać sierotami.

— Napewno...

— I wtedy sama napisałam do nich list taksamo, jak sama co rok pisałam Marszałkowi kartkę z życzeniami na imieniny...

— Widzisz, a ja nie napisałam...

— Pewnie ci to na myśl nie przyszło. Nikomu nie mówiłam o tem. Z naszej szkoły napisał jeszcze taki sam list Józio Porębski, najdzielniejszy chłopiec z naszej klasy. Otrzymaliśmy nawet odpowiedź.

— Naprawdę?

— Tak. Umiem ją napamięć, to ci powiem, co tam pisze. U góry jest taki druk: Generalny Inspektorat Armji. A potem pisze tak: W imieniu Wdowy i córek Marszałka składamy serdeczne podziękowanie za wyrażone słowa współczucia. A potem ktoś dopisał ręcznie: „Bóg zapłać!”, bo tamto było napisane na maszynie. I jest podpis: Sekretarjat kancelarji i pieczęć.

— Masz ten list?

— Nie. Oddałam Józiowi. On ma też zbiór różnych pamiątek. Ma taką fotografię, na której widać, jak Marszałek



MARZAŁEK J. PIŁSUDSKI Z CÓRKAMI

dekoruje małego harcerza krzyżem Virtuti Militari za bohaterskie zasługi podczas wojny z bolszewikami. To było w Płocku. Józio wie, co ten harcerz uczynił. Ja nie pamiętam...

— Józio jest też harcerzem.

— Naturalnie. On się doskonale zna na różnych wojskowych rzeczach, a ja niebardzo.

— Ja też niebardzo.

— Ale to nic. On dużo wie o Marszałku i ja też. Kiedyś Marszałek był chory akurat w czasie swych imienin. Mieszkał już wtedy w Belwederze. I przyszły do niego dzieci z powinszowaniami. Myślisz, że ich nie poprosił do siebie? Gdzietam! Rozmawiał z nimi długo i cieszył się — i nawet nie domyślały się niektóre bąki, że Marszałek czuje się bardzo niezdrowy... Zrobiono wtedy fotografię z tej wizyty. Odbitkę tej fotografii Józio także ma.

— I nic mi nie mówiłaś, Jadziu, o tem wszystkim!

— Ale teraz ci mówię. A wiesz dlaczego?

— Domyślałam się tylko...

— No widzisz. Dziś, kiedy na początku roku pani nasza mówiła, że musimy zawsze pamiętać o Marszałku i tę pamięć na każdym kroku okazywać, ja się naradziłam z Józiem w pewnej sprawie.

— Słucham i chętnie ci pomogę we wszystkim, co zechcesz.

— Widzisz, to jest mój pomysł. Ja mam na imię Jadzia, tak, jak młodsza córka Marszałka. Ty masz na imię Wanda, jak starsza córka. A Józio otrzymał swoje imię chrzestne na cześć Marszałka jeszcze dawno temu, bo jego tatuś jest legionistą.

— Aha, już wiem!

— No widzisz! My we trójkę musimy najbardziej z całej szkoły zająć się tem, aby uczcić pamięć naszego Wodza. I udamy się do pani o pomoc.

— Wiesz? Nasza pani ma na imię Aleksandra, tak jak pani Marszałkowa!

— Rzeczywiście! Patrz, jak się to dziwnie składa! A my oboje z Józiem mamy już gotowe pomysły.

— Jakie?

— Teraz urządzimy taką szkolną wystawę fotografii Marszałka oraz artykułów i wierszy o Nim. Potem poprosimy panią o urządzenie przedstawienia. Z dochodu kupi się książki o Marszałku do szkolnej biblioteki.

— I ja mam pomysł!

— Proszę! Widzisz, jak to razem łatwiej będzie. Jakiż to pomysł?

— Na wiosnę posadzimy drzewa koło szkoły, zrobimy z nich aleję i nazwiemy ją...

— Już wiem! Świetny pomysł!

— Prawda? Może coś jeszcze pięknego zrobimy na dowód, że dzieci pamiętają o Marszałku.

— Ale już blisko do mojego mieszkania. Dowidzenia, Wandziu!



MARSZAŁEK DEKORUJE MAŁEGO ŻOŁNIERZA



MARZAŁEK I DZIECI

— Dowidzenia, Jadziu! Wpadnij do mnie po obiedzie, to pójdziemy do Józia.

— Nie. Józio przyjdzie do mnie sam ze swojemi zbiorami, które jutro przyniesiemy do szkoły. Więc przyjdź do mnie jak najprędzej.

— Przyjdę, przyjdę! Będę się śpieszyć!

— Pamiętaj!

— Wandziu! Zaczekaj jeszcze chwilę!

— Słucham!

— Zróbmy jeszcze jedno! Ale nic nie mówmy ani Józiowi, ani pani!

— Dobrze! A co takiego?

— Ty masz taki piękny ogródek, prawda?

— Piękny może nie, ale ładny.

— Więc dopóki są w nim kwiaty, zawsze rano natnij świeżych i przynieś. Ustroimy codzień portret Marszałka.

— Dobrze! Tylko musimy obie przyjąć wcześniej do klasy.

— Przyjdziemy. I nie mówmy nic nikomu.

— A kiedy kwiatów już nie będzie?

— Prawda. Co zrobimy?

— Już wiem. Nauczmy się robić sztuczne kwiaty z bibułki. Moja mamusia umie robić takie piękne kwiaty, jak żywe. Poprosimy ją, to nas nauczy.

— Będziemy miały robotę, ale przyjemną.

— Tak. Ślicznie dziękuję ci, Jadziu, za to, że mi to wszystko powiedziałaś.

— A tobie dziękuję za pomoc. Dowidzenia, bądź dziś u mnie!

— Będę wkrótce!

I pobiegły każda do swojego domu.

M. P.

OSTATNI ROZKAZ

Obraz sceniczny w jednej odsłonie.

Osoby:

POLSKA }
MODLITWA } postacie alegoryczne
JAŚ }
MARYNIA } dzieci polskie

HARCERZE.

Scena ma wyobrażać przedsiónek pałacu Belwederskiego. Na wzniesieniu ustawiona kolumna, na niej popiersie Marszałka Piłsudskiego, lub portret; na ścianach orły polskie i sztandary pokryte krepą, zboku stół, na nim otwarta księga. Za tło służy ciemna zasłona udrapowana. U stóp kolumny klęczy niewiasta w czerni, z twarzą zasłoniętą; objęła kolumnę rękami i trwa w bezruchu. Po obu stronach dwaj harcerze pełnią wartę. Wchodzą Jaś i Marynia. Niosą kwiaty i wieńce. Zatrzymują się na prozdzie sceny i rozglądają się.

Scena I.

MARYNIA:

To tutaj pewno! Żałobna warta...
Na stole jakaś księga otwarta!..
Patrz!... Kirem orły zakryte białe!..
Sztandary czernią spowite całe!..
Portret Marszałka krepą przybrany!..
To Belwederu pewno są ściany! —
Lecz kto ta postać taka zholąła,
I także czernią okryta cała?..

HARCERZ:

Cicho!... To Polska, to nasza Matka,
Jej to On służył do dni ostatka,
Rozkuł ją z kajdan strasznej niewoli
I wiódł ją w sławy aureoli.
Dziś, gdy już odszedł od nas na wieki,
Polska zalane łzami powieki
Wznosi do Boga z prośbą serdeczną
By darzył Wodza światłością wieczną,
A ją, sierotę, by miał w swej mocy.
Tak błaga oto Bożej pomocy!
I niby w posąg bólu zmieniona,
Wraz z bohaterem zda się już kona!



Więc uszanujcie ogrom cierpienia
W skupieniu ducha, w ciszy milczenia!
(Dzieci stoją chwilę w milczeniu z pochylonemi głowami, potem:)

JAS:

My tu śpieszymy żalem przejęci,
Aby cześć oddać Wodza pamięci!...
(Podchodzą do wzniesienia, kłękają i u stóp kolumny, koło kłęczącej niewiasty, składają kwiaty, poczem zaczynają ze złożonemi do modlitwy rękami)

JAS i MARYNIA:

Oto modlitwa ku niebu leci
Za Jego duszę. My, polskie dzieci,
Dzisiaj sieroty bólem złamane,
W modlitwie korzym serca stroskane.
(Chwilę trwają w cichej modlitwie, poczem pośród draperyj ponad popiersiem ukazuje się Modlitwa, dziewczynka w stroju z gazy błękitnej, lub bladoróżowej)

MODLITWA:

I ja to jestem — modlitwa wasza,
Niech was zjawienie me nie przestrasza.
Bóg mnie tu właśnie do was posyła,
Słuchajcie, dzieci i Matko miła!
(Polska odkrywa oblicze i wpatruje się w mówiącą)

Pan żal wasz widzi, prób waszych
słucha,

I by pokrzepić waszego ducha
Te słowa śle wam przez usta moje:
Nie płacz już Polsko, otrzyj łzy swoje.
Syn twój najlepszy, dzielny a szczerzy
Pomiędzy króle i bohaterzy
Poszedł już w blasku, poszedł już
w chwale.

Orły Mu polskie szumią wspaniale.
Twarz Mu jaśnieje, jak zorza ranna!
Któż Go tam wiedzie?

Najświętsza Panna!

Ta Ostrobramska, ta ukochana,
Przed którą często zginał kolana,
Która Go wiodła przez życie całe,
Dziś w nieśmiertelną wiedzie Go chwałę!
On tam szczęśliwy! Słyszycie, dzieci?...

JAS:

Tam, gdzie Kościuszko?...

MARYNIA:

I Król Jan III-ci?...

MODLITWA:

I wszyscy inni mądrzy i dzielni,
Co przez czyn stali się nieśmiertelni!
Więc Matko Polsko i polska młodzi,
Pracą i czynem cześć Go się godzi!



A jaka praca i jakie czyny,
Dadzą wam plony, dadzą wawrzyny,
Zaraz wam powiem!... Za Bożą wolą,
Wódz rozczulony waszą niedolą,
Stamtąd, gdzie spoczął w wieczystej

ślawie
Ostatni rozkaz śle wam łaskawie!...
(Wyciąga rękę podniesioną, dzieci po-
wstają, harcerze podchodzą bliżej.
W postawie „na baczość!” słuchają
dzieci i harcerze rozkazu.)

„Wyteńczyć myśl! Wyteńczyć ramię!
Hartować wolę! Waśni znamię
Odrzucić precz! Zdeptać co marne,
Co samolubne i niekarne!
Pracować myślą, wolą, czynem!
I być Ojczyzny dobrym synem!
Zaś wszystkim ludom bratnim świata
Dać myśl i czyn, i serce brata!
Zgnieść nienawiści wszelkiej zaród!
Do tego wzywam polski naród!
Ludzkość niech uścisk złączy bratni!”
To Jego rozkaz jest ostatni!

(Dzieci podnoszą ręce, jak do przysięgi,
przyczem, zwróciwszy się ku portretowi
Marszałka, deklamują, lub śpiewają na
nutę „I-ej Brygady”.)

Ślubujem Ci pracę wytrwałą!
Dla dobra kraju trud i znój!
By dzieło Twe uwieńczyć chwałą,
I by się spełnił rozkaz Twój!

My w pracy i znoju
Nieś sztandar Pokoju
Po zgon! Ślubujem Ci,
Ślubujem Ci, Po zgon! Po zgon!

Ślubujem miłość niecię bratnią
W narodach zgody krzewić siew,
Lecz oddać kroplę krwi ostatnią
W potrzebie! Na Ojczyzny zew!

My w pracy i znoju i t. d.
(Podają ręce Polsce, która powstaje,
opiera dłonie na ramionach dzieci i zstę-
puje z podwyższenia. Żywy obraz: Pol-
ska, oparta o dzieci spogląda w dal, jak-
by w przyszłość. Harcerze i dzieci zwracają się ku Polsce.)

Ojczyzno, Matko nasza miła,
Opieką Cię otoczym swą,
Na nas polegaj! W nas — Twa siła!
Miłością zwalczym wszelkie zło!

My w pracy i znoju i t. d.
Kurtyna spada.

Janina Szymańska



Kto z Was chce dowiedzieć się, jak krasnoludki pomagają pani jesieni w pracy, niech we wtorek, 10.IX, o godzinie 18 min. 30 posłucha opowiadania z piosenkami p. t. „A my za nią jak za Panią”, które napisała dla młodszych dzieci p. Janina Porazińska.

Na środę, 11.IX, o godz. 16 do 16 min. 20 zapowiedziana jest pierwsza audycja dla dzieci starszych z cyklu: „Rozmowy Majsterklepki z Lepigliną”. Nadana będzie przez rozgłośnieńską, a warto jej posłuchać, ponieważ da wskazówki jak można zrobić sobie hektograf. Napewno przyda się szkole przyrząd, na którym będziecie powie- lać obrazki i gazetki.

We czwartek, 12.IX, o godz. 16 do godz. 16 min. 15 Stary Pan Doktor opowie młodszym dzieciom ładną historję.

W piątek, 13.IX, o godz. 12 min. 15 do godz. 12 min. 40 audycja dla dzieci starszych p. t. „Na progu roku szkolnego”. Pierwszy rok szkolny rozpoczyna- cie bez kochanego Komendanta. Prace szkolne i obowiązki społeczne trzeba wy- konywać tak, jakgdyby żył i patrzył na wysiłki nasze Wódz narodu polskiego. Radjo chętnie udzieli Wam rad i wska- zówek, aby te prace zrobione były jak- najlepiej.

W piątkowym programie (13.IX) o godz. 16 min. 45 będzie „Chwilka py- tań” p. Wacława Frenkla. W pierwszej audycji po przerwie szkolnej, starsze dzieci usłyszą dużo interesujących wia- domości i informacji.

W sobotę, 14.IX, o godz. 18 do godz. 18 min. 30 „Wesoła audycja dla dzieci ze Lwowa”.

W niedzielę, 15.IX, o godz. 16 do godz. 16 min. 15 młodsze dzieci usłyszą audycję nadawaną z Wilna p. t. „W co się będziemy bawili”.

A w poniedziałek, 16.IX, o godz. 13

min. 30 do godz. 18 min. 40 dla młodszych dzieci będzie ciekawe opowiadanie „O Stasiu i Brysiu” i o wielkiej przyjaźni, jaka łączyła chłopca z psem podwórzowym.



Wacek też podniósł głowę i przyjrzał się wilczkowi:

— A umiesz robić „wtył zwrot”?

— bąknął leniwie.

— Umieję, proszę druha!

— To zrób wtył zwrot i nie rób tu hałasu.

— Zaczekaj-no! — odezwał się Julek. — Duże namioty nie mogły przyjąć biskopka, bo już nie mają miejsca, tak? Otóż Wygwizdów, który miał być zdmuchnięty do morza — znajdzie jeszcze miejsce dla biskopka, prawda?

Mietek obejrzał się na namiot, potem na biskopka i powiedział:

— Będzie u nas.

— Bardzo dziękuję druhom, ja zaraz...

— Prrr! Biskopcie, zuchu, wilczku! Jakie masz imionczko, że tak powiem? — zatrzymał go Wacek.

— Staś.

— Staś. Stasiuniunio, tak? Otóż pamiętaj, że na Wygwizdowie będziesz się nazywać Breloczek, zrozumiano? — tłumaczył Wacek.

Ale Julek zepsuł mu wszystko, bo dodał zaraz:

— A do tego druha, będziesz mówił „druhu Wałku”, rozumiesz? A znowu tamten w kącie nazywa się druh Mruczysław. I niech cię ręka Boska broni zmienić choć jedną literę w tem imieniu, bo druh Mruczysław zaraz się obraża. A teraz kurgalopem z lewej nogi po plecak i inne bagaże! Za dwie minuty i dwadzieścia trzy sekundy zameldować się spowrotem na Wygwizdowie!

„Breloczek” kopnął się z miejsca po plecak, a radomski namiot wysadził głowy w stronę Wygwizdowa i zaczął drażnić trójkę:

— Wygwizdów, co ty wyrabiasz? I tak w namiocie ciasno, że się mało nie podusicie i rano jeden drugiemu musi robić sztuczne oddychanie, a oni jeszcze biskopka przyjmują.

— Hej, Wygwizdów! A może zrobicie biskopka obożnym i komendantem na Wygwizdowie, co?

Julek z Wackiem odcinali się jak mogli, gdy naraz odezwał się Mietek:

— Zobaczycie, że ten biskopt tak się u nas wyrobi, że zawstydzi was wszystkich.

— No, no! Zobaczymy! — śmiał się duży namiot.

Na drugi dzień rano Mietek poszedł do komendanta, obozu i siedział z kwadrans w jego namiocie, potem przyszedł i jakby nigdy nic zaczął robić miotłę z gałęzi.

— Mruczysław, czuję, że coś masz na żołądku. Wygadaj się — powiedział wreszcie Julek.

Mietek się uśmiechnął, ale nic nie powiedział.

— O czym mówiłeś z komendantem?

— Dowiecie się.

— Phi! phi! Jaki mi tajemniczy!

— mruczał Julek.

A „Mruczysław” skończywszy miotłę osadził ją na lasce harcerek i zeszedł ku morzu.

Julek, Waćek i „Breloczek” ruszyli za nim.

— Siedzicie w namiocie, bo mi wszystko popsujecie! — krzyknął „Mruczysław”.

— Dłaboga! co my mu popsujemy? — narzekał Julek wracając do namiotu. — Pokarał nas los tym Mruczykijem. Chyba piesby się z nim ogonem rozmówił — jak to mówił pan Zagłoba.

Po obiedzie komendant zwołał drużynę i powiedział:

— Drużyna pójdzie ze mną na gimnastykę za lasek i będziemy tam dwadzieścia minut, a przez ten czas czwórka z tak zwanego Wygwizdowa schowa się razem lub osobno, gdzie będzie chciała. Następnie drużyna ruszy w pogoń i odnajdzie ukrytych. Za każdego znalezione „wygwizdowca” dostaje się dwie kreski.

— Już czuję osiem kreszek w kieszeni! — krzyknął któryś z radomiaków.

— Zobaczysz je jak własne ucho! — mruknął Julek.

Za chwilę drużyna zniknęła za las-



kiem, a Wygwizdów zebrał się na naradę.

— Schowajmy się na drzewa w lasku! — wołał Julek.

— E, zaraz nas znajdą! — mówił Wacek. — Lepiej schowajmy się we wsi.

— Nie dobiegniemy. Zobaczą nas.

— Chodźcie! — powiedział Mietek i ruszył w stronę Wygwizdowa. Potem kazał wszystkim zdjąć trzewiki i przejść po zamiecionym piasku aż do wody. Następnie wycofali się ostrożnie po tych samych śladach. tyłem i zatrzymali się koło namiotu.

— Teraz do namiotu i zagrzebać się w posłania! — rozkazał Mietek.

Sam został ostatni i miotłą zatarł ślady ich wejścia do namiotu, a wreszcie schował się sam i wciągnął miotłę.

— Połóżcie na sobie koce i plecaki! — powiedział jeszcze szeptem. — A teraz nie ruszać się.

Leżeli tak już dobrą chwilę, gdy usłyszeli gwar nadchodzącej drużyny.

— Oo! Ślady! — zawołał ktoś.

— Patrzcie, to ich ślady! — krzyczał drugi. — Zdjęli trzewiki, żeby ich nie poznać.

— Trzy ślady większe i jedno biszkopta.

— Ślady prowadzą w morze! Cóż to może znaczyć?

— Co może znaczyć? Weszli w wodę, żeby zgubić ślad, przeszli kawałek wzdłuż brzegu i wyszli dalej.

— A może są w namiocie?

— Przecież fruwać nie umiej! Byłyby ślady.

— Ja wolę kolnąć laską.

— Kolnij, jak chcesz.

Ktoś podszedł do namiotu i dziobnął kilka razy w posłanie.

— Nie, niema ich.

— Mówiłem przecie. Wyszli pewno koło lasku, bo tam na trawie nie znać śladów tak jak na piasku.

— Wiecie co? Jedni niech idą brzegiem wprawo, drudzy wlewo. Kto pierwszy zobaczy ślady — da znać gwizdkiem, zgoda?

— Zgoda!

Za chwilę głosy ucichły.

— Mruczuś! Jesteś genialny! — szeptał Julek wysadzając głowę spod koca. — Pozwól, niech uścisknę twoją prawicę. A „Breloczek” jest, nie udusił się?

— Nie! — pisnął Breloczek wyłaząc ze słomy.

Następnie wyrzwał Wacek i Mietek.

— Breloczek! — zawołał Mietek. — Skocz na sosnę i zobacz co te głuptasy robią. Tylko żeby cię nie zobaczyli.

— Nie zobaczą! — zawołał zadowolony Breloczek i zaczął się wspinać na sosnę.

Za chwilę meldował szeptem zgóry:

— Tych co poszli na lewo — nie widać.

— Szukają nas w lasku — mruknął Mietek. — A na prawo?

— Na prawo... na prawo... Aha, są! Dochodzą do wsi.

— Doskonale! Siedź tam i uważaj.

Wygwizdów wyciągnął się na rozgrzanym piasku.

— Zjadłoby się co... — westchnął Julek.

Wacek zawahał się chwilę, ale otworzył swój plecak i wyjął garść lukrowanych sucharków, którymi po-

częstował kolegów. Breloczkowi zaś kazano spuścić sznurek, do którego mu przywiązano także dwa sucharki, żeby mu się nie nudziło. Julek wydo-
stał manierkę z herbatą i puścił ją w kolejkę, a potem nagle zaśpiewał, bijąc piętami w piasek:

Bum, bum, bum! na basie,

Dobry chlebuś na kwasie,
Jeszcze lepszy na wodzie,
Bo po brzuchu nie bodzie!

— Css, warjacie! Ściągniesz nam na głowę całą drużynę! — zasyczał Mietek.

C. d. n.

Jerzy Ostrowski

Listy od redakcji

Mili Czytelnicy.

Już przychodzą Wasze listy i długie sprawozdania z mile spędzonych wakacji.

Dobrze wiedział Płomyk, iż w tym roku podczas lata wielu z Was pojedzie do Krakowa, aby złożyć hołd drogiemu Wodzowi narodu.

Więc Mietek Jarszewski z Częstochowy tak pisze:

— „Kiedy spojrzałem na ukochanego Dziadka w trumnie, to serce mocno bić mi zaczęło i czułem taki żal, że nie wiedziałem, jak i kiedy znalazłem się na dziedzińcu wawelskim. Zaraz poprosiłem tatusia, abyśmy jeszcze raz poszli do krypty, a wiesz Płomyku, dlaczego? — Bo koniecznie chciałem powiedzieć Dziadkowi, że i ja też będę walczył za naszą kochaną Polskę”.

Płomyk z całego serca życzy Zuchowi Mietkowi aby dzielnie pracował dla dobra i potęgi naszej Ojczyzny.

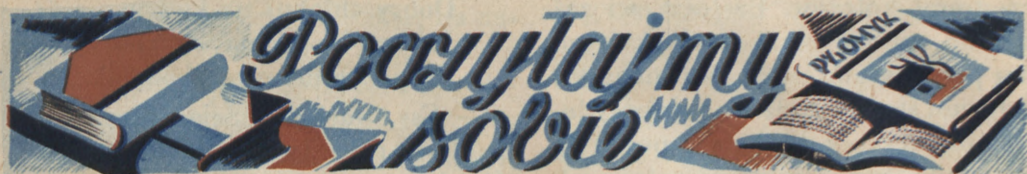
Janka Sosnowska, Zosia Wartczaków-
na, Julek Wawerski, Zenek Bartosiak
i Bolek z Wołynia nosili w koszach zie-
mię na kopiec Marszałka. Teraz, kocha-
ni moi, piszecie z dumą o tem swemu
przyjacielowi Płomykowi, a później, za
lat kilkanaście i więcej, będziecie opo-
wiadać swoim i innym dzieciom, jak to
Wasze ręce sypały pomnik - kopiec naj-
ukochańszemu Dziadkowi.

Władzia Tarnowska dziwi się, że na
Sowińcu była cisza, jak w kościele, cho-
ciaż dużo osób ciągnęło taczki z ziemią.
Tak, Czytelniczko kochana, te piel-
grzymki z dalekich stron kraju, ta pra-
ca i cisza na Sowińcu świadczą o wiel-
kiej, serdecznej miłości narodu dla swe-
go Wodza.

Wszystkim Czytelniczkom i Czytel-
nikom Płomyk pięknie dziękuje za pa-
mięć i listy nadesłane zaraz z począt-
kiem roku szkolnego i przesyła serdecz-
ne pozdrowienia.

Do redakcji przychodzą wciąż listy z pytaniami, skąd i jakie można dostać książki i pisma o życiu Marszałka Piłsudskiego. W dziale „Poczytajmy sobie” podajemy dziś tytuły kilku takich książek. Równocześnie chcemy zawiadomić naszych Czytelników, że w naszej Administracji są do nabycia dwa numery

„Płomyka” z r. 1934/35 „Życie i czyny Józefa Piłsudskiego” i „Pogrzeb Marszałka”. Znajdziecie tam ciekawe artykuły i opowiadania z życia Marszałka i bardzo dużo prześlicznych zdjęć. Cena numeru wraz z przesyłką wynosi 20 gr. Piszcie więc do Administracji, bo zapas wnet się wyczerpie!



Marszałek Piłsudski był nie tylko wielkim żołnierzem i doskonałym kierownikiem Państwa, chociaż wiedza wojskowa wymaga wiele nauki i zdolności, a tembardziej wiedza, jakiej potrzeba do umiejętnego sprawowania rządów.

Tymczasem obok tych umiejętności posiadał Marszałek duże zdolności pisarskie i historyczne i pisał wiele książek i broszur.

To, co Marszałek Piłsudski napisał sam, już stanowi małą bibliotekę. A ogromną bibliotekę stanowi to, co o Nim napisali inni.

Każdy, kto się z Wodzem zetknął w pracy, czy w czasie walk legjonowych, czy potem w wojnie roku 1920 — 21, uważał za swój obowiązek opisać swoje przeżycia, żeby nie zaginęła pamięć ani jednego dnia z życia wielkiego człowieka, ani jednego dnia, z których każdy jest przykładem poświęcenia wszystkich olbrzymich sił Wodza dla jednego celu — dla Polski.

Nie wszyscy autorowie wspomnień i rozpraw byli wielkimi pisarzami. Ale w gronie bliskich współpracowników i żołnierzy Marszałka nie brakło zdolnych piór i wielkich serc. Ich książki-pamiętniki długo jeszcze uczyć będą całe pokolenia miłości Wodza.

Dwaj znakomici pisarze: Wacław Sieroszewski i Juliusz Kaden-Bandrowski,

dawni legjoniści, najwięcej i najpiękniej pisali o Marszałku.

A ponieważ Marszałek sam kochał dzieci, ponieważ wszyscy wielcy pisarze też dzieci kochają — nic dziwnego, że i dla bibliotek dziecięcych i szkolnych nie brak łatwo, żywo i barwnie pisanych książek o największym Polaku, jakiego wydał wiek dwudziesty.

Do książek tych należą przedewszystkiem życiorysy i wspomnienia Wacława Sieroszewskiego: „Marszałek Józef Piłsudski” w I tomie wydawnictwa „Świat w obrazach” i w oddzielnej, skromnej książeczce: „Józef Piłsudski” z cyklu „Znakomici Polacy”.

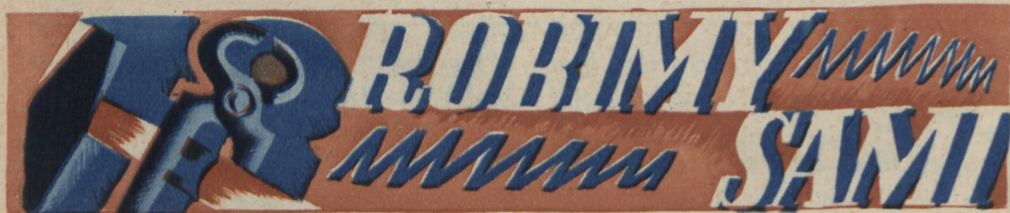
„Józef Piłsudski — życie i czyny”, skromna, szara książka d-ra Stefana Pomarańskiego obrazuje całą wszechstronną, niezmordowaną działalność Wodza aż do ostatniego roku przed śmiercią.

Mniejsza, ale równie piękna jest książka Śt. Karlina: „Dzieciństwo Józefa Piłsudskiego”, napisana już po śmierci Tego, który od dziecka był bohaterem.

O przeslicznem, dużem dziele „Mały Piłsudczyk” pisaliśmy jeszcze przed wakacjami w „Płomyku”.

Kto te książki przeczyta, będzie mógł z biegiem czasu przejść do poważniejszych, traktujących o historii wojen, walk i przeżyć więziennych Marszałka Piłsudskiego.

A. N.

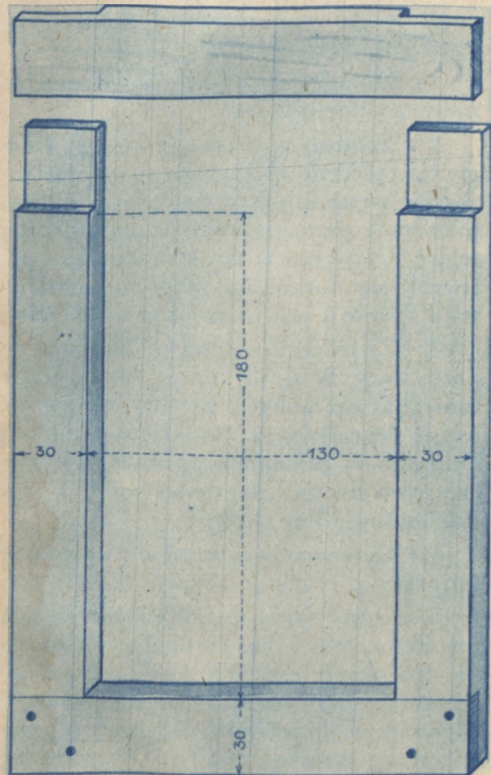


RAMKA DO PORTRETU PANA MARSZAŁKA

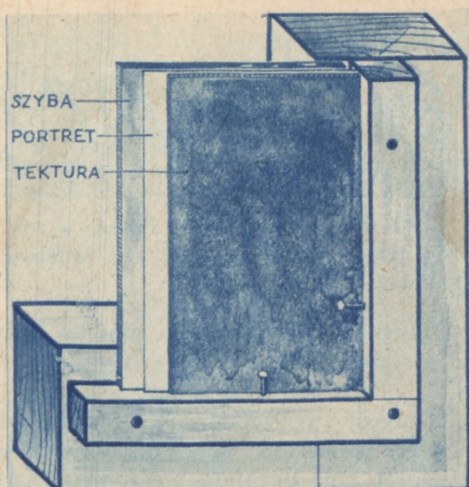
Miło nam będzie wykonać ramkę do portretu Pana Marszałka. Postarajmy się

zrobić to bardzo starannie. Do wykonania ramki potrzebne będą listwy sosno-

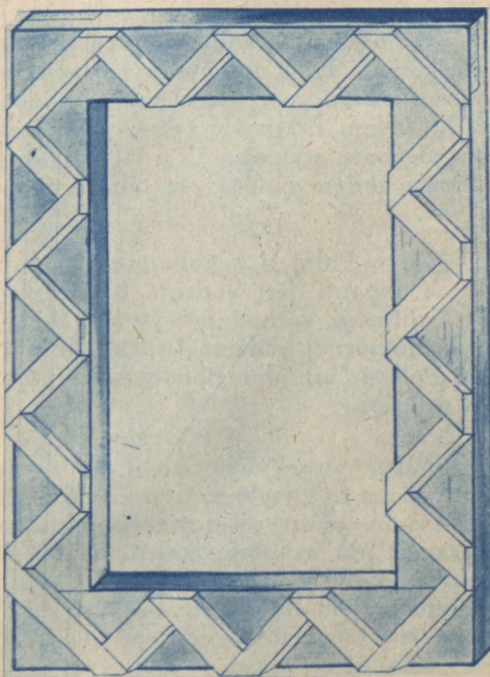
we, olchowe lub lipowe 30 mm. szerokości i 10 mm. grubości. Wymiary te są dostosowane do portretów o wielkości zaznaczonej na rysunku, t. j. 180 mm × 130 mm. Do większych portretów zastosujemy listwy odpowiednio szersze i grubsze. Ramkę połączymy na nakładkę (dokładnie dopasować, skleić, zbić



gwoździkami i oczyścić). Potem zabarwić hejcą lub inną farbą (tylko nie lakierem) na niebiesko i zaciągnąć politurą. Z listewki szer. 10 mm. grub. 5 mm. zrobimy wążek. Najlepiej wpierw wążek narysować na ramce, a potem poszczególne listewki przybijać kolejno cienkimi gwoździkami koszykarskimi. Wążek pomalować na srebrno. Można do tego użyć farby akwarelowej lub t. zw. farby alu-



minjowej, używanej do malowania drzwiczek żelaznych lub kaloryferów. Z odwrotnej strony ramki przybijemy



te same listewki, z których robiliśmy wążek. Ostatni rysunek wyjaśnia sposób oprawy portretu.

B. Osiniak



Co wiesz?

Rybołówstwo morskie w Polsce w roku 1934 dało 16.230.000 kg ryb wartości 4.373.800 zł.

Polska flota handlowa morska liczy 57 statków.

Długość przewodów telefonicznych i telegraficznych w Polsce wynosi 1.011.456 km. Bezmała, a starczyłaby na 3-krotne połączenie ziemi z księżycem. Przelot aeroplanem na długość tych przewodów przy szybkości 200 km na godzinę trwałby 21 dni i 17 godzin.

Na 863 liniach autobusowych w Polsce kursuje 1.408 autobusów i wszystkie razem przebiegają przeciętnie na dobę 151.000 km. Przebycie takiej przestrzeni piechotą wymaga $3\frac{1}{2}$ lat ciągłego marszu dniem i nocą bez odpoczynku.

Gdy w Polsce jest południe:

w Japonji jest godzina 8 wieczór, w Kalifornji, zachodnie wybrzeże Ameryki Północnej, godzina 4 rano. (Zobacz na globusie lub planiglobach, gdzie kraje te leżą).

Podstawowym materiałem dla wyrobu prochu bezdymnego używanego przy strzelaniu z nowoczesnych karabinów i armat jest celuloza, zmieniona przez zanurzenie w kwasie azotowym na nitrocelulozę. Celulozę wyrabia się z drzewa. Prawie czystą celulozą jest bawełna (wata). Zanurzona w kwasie azotowym i następnie wypłukana wodą bawełna jest silnym materiałem wybuchowym

Wszystkie nasze lampy są właściwie piecami, nie wyłączając elektrycznych, zaledwie drobna część zużytej przez nie energii zamienia się w światło, całą resztę tracimy na niepotrzebne, a nawet nieraz szkodliwe w tym wypadku ciepło. Zrobienie „zimnej lampy” nie jest

w zasadzie niemożliwe, bo w przyrodzie takie istnieją. Mają je robaczki świętojańskie i ryby z głębin morskich.

Do czego można używać elektryczności w gospodarstwach wiejskich?

1. Do napędu aparatów do mechanicznego dojenia krów.

2. Sztucznego suszenia trawy. Podgrzane piecem elektrycznym powietrze zostaje wessane przez wentylator i przepuszczane przez nagromadzoną wilgotną trawę. Uzyskane w ten sposób siano odznacza się doskonałą jakością, suszenie trwa krótko i jest niezależne od pogody.

3. Zwiększania ilości jaj znoszonych przez kury. W zimie znoszą kury o wiele mniej jaj niż w lecie. Elektryczne ogrzewanie kurników i oświetlanie silnymi lampami w godzinach porannych i wieczornych stwarza „letnie warunki” i podnosi nośność kur o 300%.

4. Ogrzewania sztucznych wylęgarni kurcząt.

5. Ogrzewania elektrycznego skrzyń inspektowych i naswietlania roślin co bardzo przyspiesza ich rozwój, bo rośliny tylko przy świetle mogą pobierać z powietrza bezwodnik węglowy i przeabiać na skrobię.

Oczywiście, by te wszystkie urządzenia się opłacały, muszą istnieć źródła bardzo taniego prądu elektrycznego. Są one stosowane w górzystej Szwajcjarji, gdzie wodne elektrownie wytwarzają prąd bardzo tanio.

Obecnie buduje się w Polsce dwie wielkie elektrownie do napędu których będzie zużyta energia spadku rzek: Soły w Porąbce i Dunajca w Rożnowej. Gdy powstanie ich więcej i my będziemy pili mleko wydojone elektrycznie z krów karmionych elektrycznie suszonym sianem. Elektrycznie wylęgnięte kury będą znosić elektrycznie zwiększone ilości jaj i będziemy mieli świeże przez cały rok, też elektryczne jarzyny.

NIE KAŻDY SNADNIE TO ODGADNIE

REBUS



ZGADYWANKA

Z dumnego miasta Krakowa wysłała kompanja
w wojennych pożarów dymie zapalić Polski
A wojna drogę legionom krwią wyznaczała
w tej krwi serdecznej brodząc pod Piłsudskiego
umieli pragnienia ziszcć waleczni

UKŁADANKA GEOGRAFICZNA

Z odgadniętych nazw 9-ciu miejscowości w Polsce podkreślić pierwsze litery. Dadzą one nazwisko wielkiego człowieka.

Miejscowości: 1 — stolica województwa w zachodniej części Polski; 2 — duże miasto na Kujawach; 3 — drugie co do wielkości miasto w Polsce; 4 — stolica południowo-wschodniego województwa; 5 — dawny zamek książąt mazowieckich w Warszawie (obecnie tylko nazwa pięknych alej przypomina tę miejscowość); 6 — miasto i twierdza w woj. lubelskim; 7 — największe miasto w Zagłębiu Dąbrowskim; 8 — dawna stolica Polski; 9 — to samo miasto na Kujawach w woj. poznańskim.

ZAGADKA

Długi nóż, piękny nóż,
ale chleba nie ukroi,
ani rusz.

SZARADA

Pierwsza — to pół kosy,
druga — to, co grzeje.
Całość — wspomni nasze dzieje
i Marszałka losy.

ZAGADKA

Jaki jest najtrwalszy pomnik u współczesnych i potomnych?

SZARADA

Pierwsza — to łatwe dwie litery
(z nich druga — pierwsza w alfabecie,
a pierwsza — trzy kreseczki w szereg,
lecz podkreślone przecie).
Druga — to większa część welonu,
a *całość* — to chluba grodu,
gdzie leżą zwłoki wodza legionów
i wodza naszego narodu.

ROZWIĄZANIA Z NUMERU 1-EGO:

Łamigłówka — Harcerz postępuje po rycersku.

Rebus — Harcerze to zuchy.

Szarada — Drużyna.

Zagadki: 1 — słońce i księżyc, 2 — pająk, 3 — cegła.

WARUNKI PRENUMERATY:

W prenumeracie pojedynczej:	W prenumeracie zbiorowej (od 10 egz. wwyż)
miesięcznie zł. 1.10	miesięcznie zł. —.84
półrocznie „ 5.—	półrocznie „ 4.—
rocznie „ 10.—	rocznie „ 8.—

POJEDYŃCZY NUMER „PŁOMYKA” KOSZTUJE 30 gr.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 1.
(wejście od ul. Dobrej Nr. 6). Nr. telefonu administracji 2.69-49, redakcji — 6.30-28.

Konto czekowe P. K. O.: „Związek Nauczycielstwa Polskiego — Zarząd Główny — Warszawa” — Numer konta 435.

PRENUMERATORÓW WARSZAWSKICH OBSŁUGUJE BIURO ADMINISTRACJI PRZY ULICY ŚWIĘTOKRZYSKIEJ 18, TEL. 5.22-18. BIURO CZYNNE OD G. 9-ej DO 7-ej W.

Redaktorzy: M. KOTARBIŃSKI i ST. MACHOWSKI. Kierownik artystyczny — K. PIENIAŻEK
Wydawca w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego: — STANISŁAW MACHOWSKI.

Druk. Rotograw. „Nowoczesnej Spółki Wydawniczej, S. A.”, Warszawa

MODEL KOPCA MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO NA SOWINCU

